

# Panama Joe i zemsta Montezumy

**Bartek Biedrzycki**

*Wszystkim wojownikom joysticka.*

Joe otarł pot z czoła. Dwoma palcami zsunął panamę na tył głowy, rozglądając się. Nie było wątpliwości, to musiało być to miejsce, o którym opowiadał mu Pedro. Teren porastały gęsto drzewa, w których buszowały ptaki. Ich krzyki docierały do niego niewyraźnie w rozrzedzonym górskim powietrzu. Obrócił się i zerknął na drogę, którą przebył. Wszedł się od samego ranka, podążając prawie niedostrzegalną, wydeptaną przez zwierzęta ścieżką ku celowi, który miał być ukryty w paśmie, górującym ponad leżącym na wyżynie miastem. Spojrzał w przód – tak, nie było żadnych wątpliwości, przed nim wznosiła się aztecka piramida. Był od niej ledwie o kilka kroków, lecz była tak porośnięta roślinnością, że nie zauważyłby jej, gdyby nie wiedział, czego szukać. Jeśli wierzyć prawie nieprzytomnemu z pijaństwa informatorowi, był to tajemny skarbiec grobowiec ostatniego tlatoani Azteków, Montezumy II, znanego jako Xocoyotzin.

Joe przysiadł na wielkim, kamiennym bloku spoczywającym u stóp starożytnej piramidy i pociągnął skąpo z pierśówki. Wysokogórskie cienkie powietrze dawało mu się mocno we znaki i dyszał ciężko, mimo że nie było gorąco – pora deszczowa zaczęła się miesiąc wcześniej, a temperatury w górach były umiarkowane. Splunął na ziemię i przez chwilę obserwował brunatnego pająka, który podążał gdzieś za swoimi sprawami, nie zwracając uwagi na człowieka, który zaplątał się w te nieprzyjazne ostępy. Z gałęzi pobliskiego drzewa przyglądały mu się ciekawie barwne ptaki. Jeden z nich szczególnie uważnie obserwował przybysza, przekręcając głowę na boki i wpatrując się w niego to jednym to drugim ciemnym, błyszczącym okiem. Człowiek siedział dłuższą chwilę, odpoczywając.

Panama Joe westchnął, wstał ciężko i rozpoczął żmudną wspinaczkę po pochyłej ścianie piramidy. Wielkie kamienne bloki zachodziły na siebie, tworząc gigantyczne stopnie, lecz aby je pokonać, awanturnik musiał podciągać się na rękach i wspinać. Pomagał sobie przytrzymując się korzeni i pędów roślinnych, które oplatały starożytną piramidę gęstą siecią. Metr po metrze piął się w górę, co jakiś czas jedynie zadzierając głowę w górę aby sprawdzić, czy daleko jeszcze do szczytu. Osłaniał przy tym oczy dłonią, bo nawet rondo panamy nie chroniło przed południowym, ostrym słońcem czerwcowego meksykańskiego dnia. Koszula na plecach lepiła mu się od potu, buty i spodnie do kolan pokryte były pyłem i brudne od roślinnych soków, opalone, silne dłonie miał poobcierane, lecz podążał do celu, mając w pamięci to, co powiedział mu kilka dni wcześniej wąsaty Meksykanin.

Spotkali się przypadkiem, w mrocznej, śmierdzącej moczem i odorem przetrwanego alkoholu spelunie w sercu stołecznych dzielnic biedy. Pedro, gdyż tak przedstawił się tamten, ubrany był w pociemniałe ze starości sombrero i cuchnące ponczo, które nigdy chyba nie zaznało prania. Otumaniony wieloma kuflami zalatującego drożdżami piwa i szklankami tequili snuł gawędę, którą zabawiał tego postawnego, wąsatego obcokrajowca. Joe przysłuchiwał się jego paplaninie jednym uchem, aż wychwytił w nieskończonym potoku bełkotliwych słów coś, co go zainteresowało.

Starożytne bogactwo, wielki skarb Montezumy, ocalony tuż przed upadkiem powstania, któremu przewodził brat władcy, Cuitláhuac; powstania krwawo stłumionego przez Corteza i jego awanturników.

– Byłem w piramidzie – wybełkotał Pedro. Przez jego twarz przebiegły gwałtowne skurcze. – Byłem tam i widziałem posąg samego huey tlahtoani, przekłętego tchórza, który sprowadził zagładę na Tenochtitlan.

– Zupełnie, jakby takiego bękarta jak ty mogła obchodzić historia Azteków – mruknął Panama Joe pod nosem, ale głośno nic nie powiedział. Zachęcająco napełnił brudną szklanę Pedra kolejną porcją cuchnącej jak benzyna, podłej wódki z niebieskiej agawy. Przysłuchiwał się pijackiemu słowotokowi przez wiele kwadransów, w myślach uzupełniając brakujące informacje, konfrontując je z tym, co już wiedział i układając plan. Czuł, że to nie tylko mrzonki na wpół przytomnego Meksykanina, że trafiła mu się prawdziwa gratka.

– Tam czeka śmierć – wycharczał Pedro i opadł ciężko na oparcie. Poplamione, śmierdzące sombrero zsunęło mu się na twarz i gringo dobiegło głośne, gardłowe chrapanie.

– Pobudka, człowieku. – Ten potrząsnął bezceremonialnie swego rozmówcę za ramię. – Co to znaczy, że tam czeka śmierć?

Pedro uniósł głowę i potoczył dookoła nieprzytomnym wzrokiem. Powieki opadły mu ciężko.

– Czaszki... Korytarzy pilnują czaszki pomordowanych Azteków – wymamrotał ledwo zrozumiale. – Wielkie pająki, ogromne jak twoja głowa, człowieku!

Odbiło mu się potężnie, obrócił się w bok i zwymiotował wprost na podłogę. Joe zastanowił się, czy nie należy przypadkiem zweryfikować wiarygodności swego źródła informacji.

– Węże! – bełkotał dalej Pedro spod sombrera. – Ogromne nietoperze, porywające ludzi i wysysające z nich całą krew! Ale to nie wszystko... – dodał, lecz głowa znów mu opadła i ponownie zachrapał ciężko. Zniechęcony Joe miał już wstać, kiedy dobiegł go dalszy ciąg ledwo przytomnego monologu.

– Liny i łańcuchy... Płonące czeluści! Znikające podłogi! – Meksykanin z trudem wypluwał z siebie te słowa. Panama Joe pokiwał głową. Cóż, najwyraźniej jego rozmówca totalnie już odleciał. Tak się zdarza, jak ma się słabą głowę. Podeszedł do kontuaru i rzucił kilka wymiętych banknotów, a następnie wyszedł na ulicę. Rozejrzył się uważnie. Pijaczyna czy nie, Pedro powiedział mu kilka ciekawych rzeczy, które trzeba było sprawdzić. W końcu miał trochę wolnego czasu, a zignorowanie informacji o skarbie, nawet mało wiarygodnej, nie leżało w naturze awanturnika w kapeluszu.

Teraz piął się mozolnie po ścianie zagubionej w górach piramidy, a zwrotnikowe słońce grzało go w plecy. Zniecierpliwiony odtrącił ręką małego brązowego pająka, który zaplątał mu się między palce. Chwył kamienny blok nad głową i podciągnął się z wyskoku, próbując utrzymać się zniszczonej przez wiatry i deszcze powierzchni. Zaczepił stopą o brzeg głązu i wwindował ciało na platformę, wieńczącą szczyt piramidy. Nareszcie! Rozejrzył się ciekawie. W tym momencie rozległ się głośny, rozwścieczony ryk. Awanturnik zdołał się w ostatniej chwili uchylić i półtorametrowe cętkowane, wążące ponad sto kilogramów cielsko przemknęło tuż obok. Joe potknął się i runął na kamienne bloki, podczas gdy jaguar wyhamował pęd i zaatakował ponownie. Łapy uzbrojone w potężne pazury rozorały plecak,

wypruwając jego zawartość, która poszybowała w dół roztrzaskując się na ścianie piramidy. Joe zdart z ramion pasy i nagłym skrucem ciała uwolnił się od ciężaru bestii. Sięgnął do biodra i wyciągnął pistolet. Wyrzelił, nawet specjalnie nie celując. W ostatniej chwili wielki kot uderzył łapą, rozrywając mu bluzę na przedramieniu, jednak kula zdążyła sięgnąć celu i przeszła głowę drapieźnika. Jaguar oraz wytrącony z omdlałej dłoni pistolet, również poszybowały w dół, w ślad za rozsypaną zawartością plecaka. Panama Joe zaklął szpetnie, widząc, że stracił większość ekwipunku.

Ciężko dysząc, poszukiwacz skarbów podniósł się na nogi. Rozejrzał się ze szczytu piramidy po okolicy. Ze wszystkich stron otaczał go gęsty las, otoczony niedostępnymi górkimi szczytami, których wierzchołki przesłaniała lekka mgiełka. Jak okiem sięgnąć, horyzont zamykały góry, nie widać było stąd ani równiny ani tym bardziej miasta, mimo iż znajdowało się w odległości zaledwie dnia drogi. Zlustrował najbliższe otoczenie, zastanawiając się, czy wśród gęstej pokrywy liści nie czają się inne drapieźniki. Coś przykuło jego uwagę.

Trup, a w zasadzie szkielet. Leżał na brzegu platformy niemal w całości skryty pod napierającą zewsząd roślinnością. Zbielałe od zwrotnikowego słońca kości okrywała zniszczona przez działanie czynników pogodowych skórzana kurtka. Obok wyszczerzonej nienaturalnie czaszki spoczywała oklapnięta fedora. Joe szybko rzucił wzrokiem niżej, odsuwając pnącza stopą – w miejscu, gdzie biała kości biodrowe szkieletu pyszniły się pokrywą rdzy klamra od pasa i stary pistolet, a tuż obok spoczywał sparciaty bat, zwinięty w spiralę.

– Znów się spotykamy, doktorze Jones – stwierdził cicho. Cóż, wyjaśniła się zagadka zaginięcia starego dziwaka. Mówiono, że wycofał się z branży po tym, jak syn wyzuł go z interesu. Od wielu lat nikt nie wiedział, co działo się z Henrym Jonesem Juniorem, a tu takie niesamowite spotkanie w sercu meksykańskiej dżungli...

– No, to pora brać się do roboty – zagadnął sam do siebie, dostrzegając pośrodku platformy kwadratowy otwór w kamiennej płycie. Podszedł i ciekawie zerknął w dół – poniżej znajdowała się skryta w półmroku komnata, a w jej podłodze jeszcze jeden otwór, z którego sterczały końce drabiny. Wiatry i deszcze naniósły na dno pomieszczenia pył i liście, które zalegały tam grubą warstwą. Tuż obok samego wejścia była ona wzruszona, odciskały się w niej niewyraźne smugi i mocno zatarte ślady. Jeżeli ktokolwiek tu był, to musiało to być dawno, być może nawet lata temu. Nie zastanawiając się wiele, Panama Joe rzucił w czeluść linę, dotąd przytroczoną do pasa i zaczął opuszczać się do starożytnego grobowca.

Po kilku chwilach postawił stopy na kamiennym podłożu i rozejrzał się odruchowo. Stał po środku komnaty, na samotnej kamiennej wyspie. Z obu stron widział dalszą część podłogi i dwie pary drzwi naprzeciw siebie. Zerknął w dół. Coś się tam ruszało, dobiegł go też grzechot, jakby ktoś turlał po ceglanej podłodze puste skorupy. Niewiele myśląc, cofnął się o krok, wziął rozpęd, przeskoczył na zewnętrzną część platformy i podszedł do białych, pokrytych nalotem kurzu drzwi. Nie było w nich ani klamki, ani gałki, jedynie na środku pyszniła się spora dziurka od klucza. Popchnął, ale nie zareagowały. Spróbował naprzeć na nie ramieniem, ale również bez efektu. Wreszcie cofnął się o krok i wymierzył w drzwi potężnego kopniaka. Odgłos uderzenia rozszedł się głuchym echem po komnacie, ale nie dało to oczekiwanego rezultatu.

W dwóch susach przesadził środkową platformę i przeskoczył na przeciwległą stronę komnaty. Drugie drzwi, tak samo białe i przykurzone, podobnie nie poddały się wstępnej perswazji z użyciem siły. Nie

zniechęcony, Joe wrócił na środek i rzucił okiem w otwór, z którego sterczała drabina. Poniżej przesuwało się coś, jakby taśmociąg. Lekko klekoczące elementy wędrowały mozolnym, ustawicznym rytmem. Panama Joe uznał ten widok za ciekawostkę, nie całkiem pasującą do azteckiej piramidy, ale jako zaprawiony w bojach awanturnik i podróżnik natknął się już w swoim życiu na dziwniejsze rzeczy. Pomysłowość starożytnych cywilizacji, szczególnie tych lepiej rozwiniętych, nie miała granic. Nie namyślając się dłużej opuścił się po drabinie i stanął na taśmociągu. Źle wymierzył jednak krok i szarpnięty pozornie tylko powolnym ruchem zachwiał się i runął naprzód, padając na poruszającą się powierzchnię. W chwilę później skoziłkował na podłogę, upadając na plecy. Zaparło mu dech w piersiach. Momentalnie jednak poderwał się, słysząc grzechotanie, zbliżające się za jego plecami.

Obrócił się w samą porę, aby zobaczyć toczącą się w jego kierunku poślizgniętą czaszkę. Rozchylone szczęki kłapały przy każdym obrocie, uderzając o podłogę, zęby dzwoniły jak kastaniety. W czarnych oczodołach gromadził się jakby dym. Niewiele myśląc poszukiwacz skarbów długim susem przesadził nadciągający czerep i w kilku krokach dotarł do małych schodków na krańcu podłogi. Obrócił się, aby obserwować czaszkę, gotów w każdej chwili ponownie uskoczyć. Czerep przetoczył się po posadzce, aż dotarł do przeciwległej ściany, po której wspinała się drabina. Odbił się od ceglanego muru i ruszył na powrót w kierunku awanturnika. Ten cofnął się o kilka kroków, schodząc po schodkach, gotów do podjęcia akcji, gdyby czaszka stoczyła się ze schodków. Ta jednak podturlała się do krawędzi i zawróciła, mknąc na powrót ku przeciwległej ścianie i wściekle kłapiąc zuchwą. Awanturnik odetchnął i rozejrzał się. Za plecami miał drabinę. Szybko wspiął się do niewielkiej niszy w ścianie, którą zbadał wzrokiem. Pod sufitem tkwił biały, masywny klucz z nieznanego metalu. Niewiele się namyślając podskoczył i chwycił go. Nie mając plecaka, po namyśle przytroczył klucz do pasa. Wrócił po drabinie na niższy poziom.

Odczekał dłuższą chwilę, obserwując czaszkę, wykonującą rundy po podłodze komnaty. Kiedy już upewnił się, że porusza się w jednostajnym cyklu wbiegł po schodach i podążył za nią. Zawahał się na moment, a potem podskoczył, próbując dostać się na taśmociąg, biegnący pod drabiną, którą zszedł z górnej platformy. I to o mało go nie zgubiło. Raz i drugi skoczył w górę, lecz nie dał rady uchwycić krawędzi przemieszczającego się chodnika, tymczasem aztecki czerep odbił się od przeciwległej ściany i pomknął w jego kierunku. W głębi czarnych oczodołów zaśniło coś złowrogiego i nieprzyjaznego. W ostatnim momencie Panama Joe rzucił się naprzód, przesadził upiornego przeciwnika skokiem i opadł na podłogę, robiąc przewrót przez bark. Nie czekając, aż potworny łeb zawróci i go dogoni, skoczył na równe nogi i pognął w kierunku majaczącej w półmroku drabiny. W kilku skokach pokonał jej szczeble, zatrzymując się u samego szczytu, gdzie w płytkiej niszy dostrzegł dwie urny. Balansując na drabinie sięgnął po pierwszą z nich, lecz okazała się pełna prochu i zetłanych resztek materiałów. Dla porządku sprawdził drugą, ale ta również nie kryła żadnej wartościowej zawartości. Jeszcze ostatni szczebel i na powrót znalazł się na górnej skrajnej platformie, tuż przy jednej z par bliźniaczych drzwi. Sięgnął po klucz i przekręcił go w zamku. Drzwi szczęknięty głośno, jakiś mechanizm w ich wnętrzu zaskoczył i Joe pchnął je, otwierając na oścież.

Wkroczył ostrożnie do sąsiedniej komnaty. Tu również panował półmrok. W pierwszej chwili awanturnik pomyślał, że może jest tu gdzieś wyjście na górę lub otwór świetlika, jednak sufit był jednolitą płaszczyzną żółtawej cegły. A może materiał, z jakiego ją wykonano przepuszczał częściowo światło? Postąpił kilka kroków naprzód i stanął gwałtownie. Z posadzki podniósł się wąż. Masywne, zwinięte w sploty cielsko miało grubość męskiego przedramienia. Miało dziwny kolor o fioletowym połysku. Gad uniósł łeb i zakołysał nim, rozdwojony język wysunął się z paszczy, sondując powietrze.

Rozległ się głośny syk i wąż otworzył pysk, ukazując ostre jak brzytwy zęby jadowe. Wychylił się w kierunku Panamy, sycząc złowieszczo. Ten ostrożnie poklepał się po udach, ale nie miał przy sobie broni. Nawet masywny klucz, którym mógłby rzucić w węża został za plecami, tkwił w zamku białych drzwi. Nie widząc innego wyjścia postanowił zaryzykować. Zrobił krok w tył i gwałtownie rzucił się naprzód, wielkim susem przesadzając spoczywającego na posadzce gada. Rozległ się wściekły syk i wąż rzucił się na człowieka, ten jednak bezpiecznie wylądował na posadzce i szybko odbiegł parę kroków, odwracając się, aby spojrzeć na przeciwnika. Gad, wodząc za nim oczami, tkwił w miejscu, jakby przyklejony do podłogi. Nie ruszył się, jedynie kiwał wysoko uniesionym łbem, wystawiając raz po raz rozdwojony język.

Poszukiwacz skarbów cofał się powoli, rozglądając się wokół. Pod sufitem ujrzał masywny klucz, identyczny z tym poprzednio znalezionym, jednak w innym kolorze. Tamten był biały jak kość, ten – czerwony niczym krew. Idąc krok za krokiem i rozglądając się na boki w pewnej chwili stracił równowagę i zorientował się, że dotarł do krawędzi platformy, na której stał. Dziko zamachał rękoma, wreszcie udało mu się odzyskać równowagę, przesunął ostrożnie stopę i stanął na powrót twardo na podłożu z żółtych cegieł. Spojrzał pod nogi – w podłodze ział otwór, z którego wynurzała się drabina. Niespokojnie zerkając na wszystkie strony, Panama Joe zszedł na niższą platformę. Wydawała się pusta, lecz jakiś błysk światła przykuł jego uwagę. Uniósł wzrok i ujrzał, że to spory, czerwony klejnot rzuca te krwawe odbłaski. Sięgnął po niego i zważył w dłoni. Spora rzecz, pewnie sporo warta – zawyrokował, chowając kamień. Uważnie zlustrował otoczenie i dostrzegł jeszcze dwa. Z zadowoleniem oszacował, że ich wartość powinna zwrócić mu koszty tej ryzykownej wyprawy.

Dotarł do końca platformy i kolejną krótką drabinką zszedł niżej, a z pustego korytarza na dole następną drabiną dotarł na niższy poziom. Postawił nogę na ceglanej platformie, i wtedy usłyszał znajomy grzechot toczącej się po ceglach czaszki. Czym prędzej skoczył na powrót na drabinę, podczas gdy wściekły aztecki czerep przetoczył mu się pod stopami, odbił od ściany i poturlał dalej. Joe pochylił się na drabinie, zaglądając pod niski ceglany stron. Zauważył, że tę komnatę wybudowano dla odmiany z czerwonej cegły. Wychylił się i zobaczył wąską kolumnę, tuż za krawędzią krótkiej platformy, po której toczył się tam i z powrotem czerep. Przypominała słupy używane przez strażaków. Co kryło się u jego podstawy? Tego Joe nie widział. Odczekał więc, aż czaszka przetoczy mu się pod nogami i podbiegł za nią, a gdy zawróciła – podskoczył i przepuścił ją. Szybko stanął na krawędzi platformy i rzucił okiem w dół. Poniżej był ceglany filar, a z boku płonął ogień. Słyszając grzechotanie kości za plecami nie zastanawiał się więcej, tylko rzucił w kierunku słupa, objął go mocno rękoma i zjechał na dół. Zachwiał się uderzywszy stopami o ziemię, lecz utrzymał równowagę. Z boku czuł palący żar ognia, płonącego w szerokiej niszy. Zastanowił się przez chwilę, co było w stanie utrzymać płomień przez te wszystkie wieki, lecz doszedł do wniosku, że to byłoby nierealne. Najprawdopodobniej otwarcie przez niego drzwi uruchomiło jakieś dawno uśpione mechanizmy, którymi naszpikowany był skarbiec Montezumy.

Rozejrzał się, bo skwar zaczął mu doskwierać. Za plecami miał zdradziecko głęboką nieckę. Joe nie należał do niskich, ale zmieścił by się w niej spokojnie ze dwa razy. Spojrzał na przeciwległą krawędź, twardą i wyższą niż po tej stronie. Nie będzie łatwo tam doskoczyć, zawyrokował. Jeśli nie sięgnie krawędzi muru, runie w dół, a stamtąd nie będzie miał szans się wydostać. Musiał jednak podjąć to ryzyko, bo żar płomieni dawał mu się coraz bardziej we znaki, zaś droga w górę była odcięta – szanse, że wdrapałby się na powrót po gładkim, śliskim słupie były zbliżone do zera. Wzruszył ramionami, poprawił kapelusz i zaparłszy się plecami o kolumnę zjazdową wybił się mocno, wyciągając naprzód

ręce. Poleciał ostrym łukiem i wyrznął klatką piersiową o ceglana krawędź. Uderzenie wypchnęło mu powietrze z płuc i przez moment Joe spazmatycznie chwytał oddech, próbując jednocześnie znaleźć oparcie dla wierzgających nóg lub macających po omacku dłoni. Wreszcie zaczerpnął tchu, chwycił się szczeliny w wykruszonej spoinie i podciągnął się na platformę, gdzie zaległ na kilka minut, gapiąc się tępo w cegły ponad nim.

Nad jego głową w półmroku majaczyła kolejna platforma, a wyżej, ponad nią, ta, z której skoczył na słup zjazdowy. Musiało być między nimi przejście. Nie było wysoko, ale obite żebra bolały go i nie byłby w stanie podciągnąć się na rękach, nawet, gdyby dał radę doskoczyć i chwycić się krawędzi. Usiadł, zastanawiając się co robić, gdy nagle zobaczył przed sobą unoszącą się w powietrzu platformę. Był pewien, że wcześniej jej tam nie było. Teraz jednak mógłby wyciągnąć rękę i dotknąć jej bez problemu. Przyglądał jej się dłuższą chwilę, aż nagle jakby zamigotała i zniknęła. Potrząsnął głową i przetaił oczy ze zdumienia. Najwyraźniej upadając, musiał uderzyć się w głowę. Pomacał się po potylicy, poprawiając przy okazji kapelusz, któremu zawdzięczał swój przydomek. Podniósł się, przyklękając na jedno kolano. Powietrze drgało rozgrzane nad płomieniami, buzującymi po drugiej stronie słupa. Poszukiwacz skarbów intensywnie wpatrywał się w przestrzeń, gdzie przed chwilą widział platformę. Coś zamigotało i nagle pojawiła się na powrót w tym samym miejscu. Mrugnął kilkakrotnie, nie wierząc własnym oczom, w końcu wyciągnął rękę, wychylił się ostrożnie i dotknął. Twarda, solidna, jak cegły pod nogami. Potem zamigotała i znów zniknęła. Co mówił ten meksykański pijaczyna? Znikające podłogi? Czeluści pełne ognia? A tak, czaszki pomordowanych Azteków. Oraz węże. Co tam jeszcze Pedro wymieniał? Mniejsza z tym.

Joe przeczekał kilka cykli – platforma pojawiała się na parę chwil, potem znów znikła. Nie pojmował istoty tego zjawiska, lecz nie mógł kwestionować faktów, o których informowały go wzrok i dotyk. Odczekał, aż platforma znów zniknie i sprężył się do skoku. Gdy tylko się pojawiła, wybił się, wskoczył na nią i niewiele się zastanawiając, przeskoczył na wyższą platformę. Opadł na kolano i natychmiast poderwał się do skoku słysząc tak dobrze znajomy już grzechot kości na ceglach i kłapanie szczęk. Przeskoczył czaszkę, a kątem oka uchwycił błysk. Bezwiednie wyciągnął dłoń i pochwycił znajomy, czerwony klejnot. Skoczył naprzód lecz już po kilku chwilach gwałtownie się zatrzymał. Pod stopami miał pustkę, kilka metrów niżej leżała krawędź kolejnej platformy, lecz była tak wąska, że skok na nią był zbyt ryzykowny. Tuż obok ziała głęboka jama, którą wypełniały płomienie. Uniósł wzrok wyżej i zobaczył dwie liny, zwieszające się z sufitu. Miał ledwie parę sekund na ogarnięcie wzrokiem całej komnaty i podjęcie decyzji – za jego plecami już turkotał aztecki czerep. Nie namyślając się wiele rzucił się naprzód. Wyciągnął ręce i chwycił w ostatniej chwili jedną z lin. Impet zarzucił nim; bujnął się, a potem zawisł, kurczowo trzymając się starożytnych, pokrytych drobnym pyłem splotów. Dopiero w tej chwili przyszło mu do głowy, że przecież mogły łatwo trzasnąć, a on poleciałby w płomienie poniżej. Płomienie! Podciągnął się szybko wyżej, bo żar ognia buchającego pod nim nieprzyjemnie palił go w podeszwy. Zarzucił nogi i wdrapał się sprawnie po linie. Obok siebie dostrzegł sztylet. Sięgnął i chwycił go. Niewiele myśląc, wcisnął go za pas. Po utracie broni palnej wszystko, co mogło posłużyć do walki było cenne. Wystawił głowę przez okrągły otwór w ceglanej platformie i natychmiast wtulił ją w ramiona, kiedy przetoczyła się tuż obok kolejna czaszka o mrocznych, wypełnionych dymem oczodołach.

Opuścił się nieco niżej i ogarnął wzrokiem komnatę. Pod nogami miał płomienie. Na lewo, gdyby spełził jeszcze niżej miałby w zasięgu skoku wąską półkę, na którą wcześniej nie odważył się opuścić. Ograniczały ją drzwi. W odróżnieniu od tych, które wcześniej sforsował, te były niebieskie. Mógł

zaryzykować i skoczyć, ale gdyby okazały się zamknięte, mógłby mieć problem z powrotem na liny. Postanowił zaryzykować i wybrać drogę w górę. Podciągnął się i wystawił głowę przez otwór w platformie. Czaszka była jeszcze daleko. Szybko stanął na nogi, przeskoczył zbliżający się czerep i ruszył korytarzem odchodzącym w bok. Z naprzeciwka potoczyła się ku niemu kolejna czaszka, ale Joe nauczony już jak zachowują się te potwory po prostu przeskoczył przez nią nie zwalniając kroku.

Zerknął w górę, widząc pod sufitem klucz i jeszcze jakiś inny przedmiot, przypominający drewnianą maczugę. Podskoczył dwukrotnie, chwytając oba przedmioty. Dziwna mała maczuga była ciepła i jakby zapulsowała mu w dłoni, gdy ją ścisnął. Postąpił krok naprzód i gwałtownie rzucił się do tyłu, bo z sufitu runął w dół ciężki gruby łańcuch, omal nie miażdżąc mu karku. Joe poleciał na plecy, słysząc jednocześnie, że toczy się ku niemu upiorna czaszka. Zdążył jedynie przekręcić się i spojrzeć w oczy nadciągającej grozie, gdy kłapiący czerep o wypełnionych dymem oczodołach trafił go prosto w twarz. W jednej chwili życie przeleciało mu przez oczami. Wypadek na rowerku, Anna z naprzeciwka, która miała najfajniejsze kudły na całej ulicy, bijatyka na boisku, za którą go zawiesili w szkole i pierwsze zaśnieżone monety, które wygrzebał w lesie, a także wszystkie awanturnicze wyprawy i podróże, które odbył. Czerep kłapał szczękami i przetoczył się przez Panamę, aż tamtym wstrząsnęły dreszcze. Człowiek poderwał się na równe nogi i patrzył, jak czaszka odtacza się korytarzem. Wtedy dopiero zauważył, że jest jakby półprzejrysta i pulsuje. Ujrzał i poczuł ten pulsujący rytm jednocześnie. Spojrzał na ściskany w dłoni aztecki amulet w kształcie maczugi – to on pulsował tym samym rytmem.

Rozmyślenia przerwał łoskot spadającego ponownie łańcucha. Na jakiej zasadzie działała pułapka, Joe nie dociekał. Faktem było, że potworny metalowy ciężar spadał przez szczelinę w suficie niczym gilotyna i znikał w podobnej w podłodze. Awanturnik patrzy chwilę na czaszkę. Stopniowo pulsowanie zwalniało, a potem nagle stała się znów dobrze widoczna. Cofnął się o krok, aby być gotowy do przeskoczenia przez nią, gdy zawróci. Łoskot łańcucha kolejny raz wdarł się w ciszę grobowca, zagłuszając klekot czerepu na ceglanej podłodze. Panama Joe skoczył ponad szczeliną i pobiegł w kierunku majaczącej w podłodze drabiny. Szybko opuścił się po szczeblach. W myślach liczył sekundy od ostatniego upadku łańcucha. Wyglądało na to, że wszystko w tej piramidzie pulsuje. Czaszki toczą się tam i z powrotem po platformach, podłogi znikają i pojawiają się w jednym rytmie, a pułapki podobne do tej, która prawie zgruchotała mu kark również działają w regularnych odstępach czasu. Skulony na drabinie, dwukrotnie przeliczył w myślach cały cykl między kolejnymi łańcuchami – jego podejrzenia potwierdziły się. Wystawił głowę nad poziom platformy, gdy klekotanie czaski zaczęło się oddalać. Rozejrzał się.

– Pora ruszać – mruknął sam do siebie – Zbyt długo tu już zabawiłem.

Z drugiej strony pośpiech wskazany jest przy łapaniu pcheł, skonstatował, patrząc w dół drabiny. W dół, czy może w bok? – zastanowił się. U pasa dyndał mu niebieski klucz, który mógłby otworzyć drzwi na wąskiej półce w sąsiedniej komnacie. Mogło się za nimi znajdować coś interesującego. Mógł to nawet skarb, chociaż w to Joe wątpił – ledwo zapuścił się w czeluści grobowca... Rozmyślenia przerwał mu łopot skrzydeł i wysoki, świdrujący pisk. W ostatniej chwili poszukiwacz przygód schylił głowę i ostre, długie pazury zamknęły się w powietrzu. Podmuch od gigantycznych skórzastych skrzydeł prawie zerwał mu panamę z głowy, więc niewiele myśląc zaczął ześlizgiwać się w dół po drabinie w wąskim kominie. Zerknął w górę i zobaczył wielkiego, szamoczącego się i bijącego

skrzydłami nietoperza, próbującego wcisnąć się w zbyt małe przejście. Nie czekając by przekonać się, czy napastnikowi uda się ta trudna sztuka, Panama Joe opuścił się na sam dół po drabinie.

Zeskoczył na platformę i niemal odruchowo podskoczył, gdy przetoczyła się pod nim czaszka. Co jeszcze mogło go zaskoczyć? Czerepy, w pierwszej chwili tak straszne, obecnie nie wydawały się godnymi uwagi przeciwnikami. Ot, wystarczyło mieć je na oku i uniknąć ich w odpowiedniej chwili. Szybkim krokiem ruszył ku otworowi w platformie i po drabinie spuścił się na niższy poziom. Przeskoczył kolejną turkoczującą po podłodze czaszkę i podszedł do krawędzi. Ogarnął komnatę wzrokiem. Lina, poniżej kolejna platforma. Jedyna różnica to kolor cegły, z której zbudowano grobowiec. Tutaj wpadał w odcień fioleto. Nie czekając, aż aztecki czerep podtoczy się do jego nóg skoczył na wiszącą w powietrzu linę. Bujnął się w bok i opuścił na podłogę, rozglądając się za kolejną czaszką. Ta komnata była ich pełna, więc praktycznie prosto z liny przeskoczył na drabinę wystającą z otworu w podłodze.

Zanurzył się w wąski komin; drabina wypełniała go od krawędzi do krawędzi. Schodził niżej, a kolor ceglanych ścian znów się zmienił, tym razem na powrót na czerwony. Wynurzył się z pionowej studni i rozejrzał. Pomieszczenie pełne było ruchomych chodników, takich jak ten, w pierwszej komnacie, przy samym wejściu do piramidy. Klekotały i terkotały, przesuając się jednostajnie. Postawił stopę na małej platformie między dwoma chodnikami. Opuścił drugą i w tym momencie platforma pod jego nogami zniknęła, a on zawisł z nogami dyndającymi w powietrzu, kurczowo trzymając się szczebli drabiny. Potracił coś i bezwiednie złapał za klucz, który umieszczony został pod znikającą platformą. Wepchnął go za pas i wyrzucił rękę w górę, chwytając szczebel wysoko ponad głowę. Podciągnął się i wisząc na jednej ręce wyrzucił w górę drugą. Szarpnął i wywindował się wyżej. Podłoga pod jego stopami znów się pojawiła. Skorzystał z okazji i zaczął wspinać się po drabinie w górę. Ta komnata stanowczo nie wzbudzała jego entuzjazmu.

Zatrzymał się na wyższym szczeblu i zbadał swój stan posiadania. Dwa klucze – niebieski i czerwony, do tego starożytny aztecki sztylet. Postanowił zaryzykować i wrócić do pomieszczenia, w którym były niebieskie drzwi. Czym prędzej wspiął się do komnaty powyżej. Po drodze przystanął jedynie na moment, aby sprawdzić stojące we wnęce urny, ale okazały się pełne prochów i zetlełych materii, tak, jak poprzednie. Wystawił głowę i widząc, że turlająca się czaszka jest daleko, skoczył na zwisającą pod górną platformą linę. W kilka chwil wspiął się na górę i dobiegł do drabiny, prowadzącej na wyższy poziom. Wspinał się dłuższą chwilę wąskim, wysokim kominem, biegnącym pionowo. Ostrożnie wystawił głowę, rozglądając się, czy w komnacie nie lata nadal gigantyczny nietoperz, który poprzednio go zaatakował, ale wyglądało na to, że prócz czerepu nie ma w korytarzu żadnych napastników. Łoskot spadającego łańcucha przypomniał mu o drugim z czyhających w tym miejscu niebezpieczeństw. Nie czekając wyskoczył na platformę i w kilku szybkich skokach przemierzył ją aż do otworu, w którym wisiała lina. Opuścił się poniżej ceglanoego sufitu.

Chwilę kołysał się na linie, ale buzujące poniżej płomienie błyskawicznie sprawiły, że pozycja ta stała się wyjątkowo niekomfortowa. Rozbijał linę i skoczył, rozkładając szeroko ramiona. Uderzył o powierzchnię drzwi i starał się przytrzymać, bo ceglana półka była wąska i niebezpieczna, a tuż za jego plecami szalał ogień. Asekurując się jedną ręką, drugą odszukał wetknięty za pas klucz. Wsunął go w otwór w drzwiach i przekręcił. Drzwi otworzyły się na oścież i na poszukiwacza przygód rzucił się gigantyczny, włochaty pająk. Odwłok stwora był wielkości ludzkiej głowy, długie, kosmate odnóża sprawiały, że wyglądał na dużo większego. Niewiele się namyślając, Panama Joe wyszarpnął z za pasa



znaleziony aztecki sztylet i dźgnął nim od dołu w korpus. Przebił chitynowy pancerz i szarpnął w tył, rozdierając potwora. Wielkie żuwaczki zaklekotały niebezpiecznie blisko twarzy awanturnika, a potem monstrualny pajak wraz z wbitym w niego sztyletem rozplynęli się niczym dym.

– Ożeż ty... – zaklął pod nosem, ciągle rozdygotany po nagłym i niespodziewanym ataku. Powoli zaczął schodzić po drabinie na niższy poziom. Zaraz dostaną odcisków na rękach, pomyślał ze złością. Wszędzie były te cholerne drabiny. W górę i w dół. Wóz drabiniasty, a nie grobowiec – skonstatował złośliwie Joe. Zaraz jednak podrapał się pod kapeluszem. Jaki wóz, jak oni nie znali nawet koła – mruknął, stawiając stopy na coraz niższych szczeblach. Zszedł na sam dół i stanął na platformie. Po swojej prawej ręce dostrzegł węża, kołyszącego głową. Cofnął się o krok, obserwując gada, ale ten, mimo że zdradzał irytację, nie próbował podpełznąć bliżej albo zrobić wypadu głową. Nie spuszczać wzroku z węża, Panama Joe odszedł o kilka metrów, aż natknął się na otwór, w którym stała drabina. Zszedł niżej i rozejrzał się. Na drugim końcu, podobnie jak na wyższej platformie, kołysał się powolnym, hipnotyzującym rytmem wielki wąż. Joe pochodził powoli, rozglądając się za przejściem, lub drabiną na niższy poziom. Na środku platformy znajdował się charakterystyczny otwór, więc podszedł do niego ostrożnie, nie spuszczać z węża wzroku. Postawił stopę na najwyższym szczeblu, potem powoli zaczął schodzić.

Schylił się pod stropem, lustrując korytarz wzrokiem. Z niezadowoleniem zauważył, że w jego kierunku biegnie się nie jeden, lecz dwa pająki, następujące sobie niemal na odnóża. Zaklął pod nosem – przeskoczenie dwóch takich monstrów nie wchodziło w rachubę, a nie miał przy sobie nic, co mogło służyć za broń. Zlustrował sufit, lecz nie zobaczył ani azteckiego amuletu, ani sztyletu. Kiedy pająki przetoczyły się pod jego nogami skoczył w dół z drabiny i pognał w przeciwnym kierunku, nie czekając, aż odbiją się od ograniczającej korytarz ściany. Pędził przed siebie wielkimi susami, nabierając rozpędu, bo w dalszej perspektywie zobaczył unoszącego łeb węża. Fioletowe cielsko kołysało się hipnotycznym rytmem. Panama Joe wybił się w powietrze i zmartwił, kiedy usłyszał ryk płomieni, a podłoga pod jego stopami bez ostrzeżenia zniknęła, odślaniając ognistą czeluść. Biegł po znikającej platformie nawet tego nie wiedząc! Opadł ciężko o kilka kroków za wężem i przetoczył się przez bark, wytracając rozpęd. Poderwał się na równe nogi i zamarł nagle. Korytarzem w jego stronę pędziła kłapiąca paszczką czaszka. Nie toczyła się jednak po ziemi jak te, które widywał dotąd. Tamte spokojnie terkotały na podłodze, można było je przeskoczyć lub wspiąć się na drabinę i ominąć taką. Ta jednak skakała, niczym upiorna, kościana piłka odbijając się od podłogi i zakreślając długie, wysokie łuki. Zbliżała się w zastraszającym tempie. Niewiele myśląc, poszukiwacz skarbów skoczył szczupakiem naprzód i przemknął pod kłapiącym żuchwą czerepem. Powstał i zaklął szpetnie kolejny raz gdy zobaczył w głębi korytarza drugie identyczne skaczące monstrum. Ruszył biegiem na jego spotkanie, starając się zgrać swoją prędkość z pędem nadciągającego niebezpieczeństwa. Przetoczył się pod upiornym trupim łbem i kątem oka dostrzegł zawieszony pod sufitem amulet w kształcie maczugi. Niewiele myśląc chwycił go i ścisnął w dłoni.

To ocaliło mu życie, gdyż aby sięgnąć po artefakt musiał zwolnić. Jedyne dzięki temu nie wpadł wprost w pułapkę z opadającym łańcuchem. Odczekał cierpliwie, aż ustanie łoskot spadającego żelastwa i już miał postawić krok naprzód, gdy nagle podłoga przez nim zamigotała i znikła, pod nią zaś buchnęły płomienie. Gorąco owiało mu twarz, kiedy wycofywał się, rzucając za siebie nerwowe spojrzenia – musiał ocenić odległość od skaczących czasek. Licząc sekundy wyczekał, aż podłoga znów się pojawi, pozwolił opaść łańcuchom i sadząc wielkimi susami rzucił się naprzód. W ostatniej chwili wyhamował przed drugą pułapką łańcuchową, lecz nim jeszcze żelazo całkiem zniknęło w szczelinie

podłogi skoczył w przód. Wyliczył to dobrze, bo gdy jego stopy straciły kontakt z podłogą, ta ponownie zniknęła, odsłaniając piekielną otchłań. Odruchowo zaciskał dłoń na azteckim artefakcie, więc gdy upadł na podłogę półprzezroczysta tocząca się czaszka przeszła przez niego jak duch, przypinając go jedynie o zimny dreszcz. Gdy się obejrzał, toczyła się w powietrzu, w miejscu, gdzie powinna być podłoga, i nabierała znów kolorów stając się bardziej materialna. Odrzucił niepotrzebny już, wykorzystany amulet.

Biegł dalej korytarzem, kiedy ujrzał przed sobą węża. Zbliżył się ostrożnie i dostrzegł pająka, szybko biegnącego w jego kierunku. Wyczekał do ostatniej chwili i przeskoczył oba stwory, kiedy pająk zrównał się z gadem. Obejrzał się za siebie i z impetem uderzył o drzwi, zagrządzające korytarz. Spojrzał na nie – były czerwone niczym krew. Pomacał wokół pasa i natrafił na ukryty tam, zabrany z jednej z komnat na wyższych poziomach czerwony klucz. Wsunął go do zamka, przekręcił i szeroko je otworzył. Pobiegł dalej w panującym w piramidzie półmroku.

Mijały godziny, a Panama Joe zagłębiał się coraz niżej i niżej w starożytny, górski grobowiec. Przebiegał po zdradzieckich, znikających platformach. Omijał skaczące i toczące się czaski. Zabijał pająki znalezionymi azteckimi sztyletami. Wiele razy, próbując zdobyć klucze lub rozsiane tu i ówdzie klejnoty ryzykował życiem, nieomal zmiażdżony przez spadające z hukiem łańcuchy. Wielokrotnie przyszło mu balansować z trudem na szybko mknących ruchomych chodnikach, a dłonie pokryły mu bąble i otarcia od lin, na które skakał i po których się wspinał. Parokrotnie omal nie połamał nóg, dokonując cudów ekwilibrystyki, gdy wspinał się i balansował na wąskich ceglanych występach i słupkach nad jeziorkami huczącego ognia. Niemal został ukąszony, gdy z przerażeniem zauważył, że niektóre pająki potrafią wspinać się po drabinach. Cały ten czas parł wciąż i wciąż naprzód, schodząc w dół i w dół. Po wielu godzinach, będąc niemal na skraju wyczerpania, dowlókł się na niewielką platformę. Rozejrzał się i bez sił oparł o ścianę. W myślach cicho liczył mijające sekundy – w trakcie wędrówki po piramidzie przekonał się, że gigantyczny nietoperz pojawiał się zawsze, gdy spędzał gdzieś zbyt długi czas. Aby uniknąć jego szponów należało pozostawać niemal w ciągłym ruchu.

Odpoczął parę chwil, podniósł się ciężko i spojrzał w dół. Z boku wisały liny, pod nimi buzowały płomienie. Musiał do nich doskoczyć, jeżeli chciał dostać się na platformę poniżej. Wziął rozpęd i rzucił się w dół. Poleciał jak kamień, chwycił linę lecz pokaleczone dłonie nie zacisnęły się wystarczająco mocno i zaczął się zsuwać. Poczuł jak podeszwy butów zaczynają się nagrzewać i owionął go zapach spalenizny. Podciągnął nogi, zacisnął je na linie i mozolnie wspiął się wyżej. Bujnął się w bok, oceniając odległość i kiedy zatoczył łuk jak wahadło, skoczył. Upadł ciężko na ceglana posadzkę i chwilę wpatrywał się we fioletowe cegły. Obrócił się i poczuł, że coś uwiera go w plecy. Sięgnął do pasa i wyciągnął pochodnię, którą znalazł kilka poziomów wyżej. Pomacał z boku – miał jeszcze jeden klucz. Przez chwilę, pełen zniechęcenia, miał ochotę cisnąć wszystko w płomienie i po prostu leżeć, czekając na nietoperza. Potem jednak wymacał w bocznej kieszeni kurtki sporą garść klejnotów. Sam ten łup sprawiał, że wyprawa była opłacalna. Dotyk twardych, szlachetnych kamieni sprawił, że legendarny skarb na nowo rozpalil jego wyobraźnię. Powstał ciężko, głęboko wciągnął przesycone dymem z płonącej jamy powietrze i zszedł po drabinie. Kiedy postawił stopę na platformie, wokół panowała ciemność. Dotąd w korytarzach i salach panował półmrok, różnokolorowa cegła w jakiś sposób musiała przepuszczać promienie słońca sprawiając, że wnętrze piramidy dawało się przemierzać bez dodatkowych źródeł światła. Teraz jednak, na tych najniższych poziomach, zapadły azteckie ciemności. Być może użyto tu innego budulca, być może też zszedł już poniżej poziomu gruntu.

Wymacał drabinę, wspiął się na powrót do wyższej komnaty i wychylając się przez krawędź odpalił pochodnię od ognia buzującego w ceglanej jamie. Z jedną ręką zajętą, zejście na niższy poziom zajęło mu sporo czasu. Raz, straciwszy oparcie dla stopy, prawie podpalił swoją panamę. Wreszcie stanął na powrót w dolnym korytarzu. Zatoczył łuk pochodnią, oświetlając najbliższe otoczenie. Z tyłu, za drabiną, dostrzegł ścianę z zielonkawej cegły. Pod ścianą zaś leżało coś przypominającego z grubsza spory tobół. Joe podszedł bliżej i dostrzegł błysk nagiej, białej kości. Z podłogi szczyrzyła się do niego czaszka, otoczona resztkami rudobrazowych włosów, splecionych w rozsypujące się warkocze. Rzut oka na wysokie skórzane buty i dwa rdzewiejące pistolety upewnił go, że oto wyjaśniła się zagadka zaginięcia pewnej młodej arystokratki, ostatniej dziedziczki rodowej fortuny.

– I cóż? – zagadnął do wyszczerzonego szkieletu. – Chciałaś zostawić coś po sobie? Poszukać przygód? No to cię przygoda dopadła...

Obrócił się plecami do szczątków i ruszył przed siebie korytarzem. Ujrzał dwa zbliżające się ku niemu pająki, a w chwilę później ciemności rozjaśnił blask ognia, gdy podłoga kryjąca płomienną czeluść zniknęła. Odczekał, aż pojawiła się znowu i w dwóch susach przesadził monstrialne pajęczaki. Przyspieszył kroku, dobywając resztek sił. Przystanął widząc pusty korytarz przed sobą i nauczony doświadczeniem odczekał kilka chwil – miał rację, gdyż dalsza część przejścia kryła kolejny długi odcinek znikającej podłogi. Gdy tylko pojawiła się na powrót i zgasł blask ognia, ruszył biegiem. Zatrzymał się dopiero przed niebieskimi drzwiami zamykającymi przejście. Dyszał ciężko i ocierał pot z czoła, lecz czuł, że cały ten trud nie poszedł na marne. Intuicja mówiła mu, że zbliża się do końca tej męczącej wędrówki. Sięgnął po klucz – był błękitny jak drzwi. Wsunął go do zamka i przekręcił. Rygle szczyknęły i odskoczyły, drzwi stanęły otworem.

Panama Joe uniósł w górę pochodnię i przeszedł przez próg. Podszedł do krawędzi platformy. Spojrzał pod nogi i ujrzał gigantyczny posąg, stojący po środku sali. Statua wyobrażała wojownika. Głowę przystrajał pióropusz, ramiona miał założone na piersi co nadawało mu władczej pozy. Joe rozejrzał się, szukając jakiejś drogi. Zerknął za siebie i pod progiem ujrzał charakterystyczny otwór z drabiną. Z trudem utrzymując pochodnię zszedł niżej i zbliżył się do posągu. Spojrzał w górę na górującą nad nim statuę – miała około dziesięciu metrów. Bogate zdobienia, złote inkrustacje, jaskrawe mimo upływu wieków barwy – wszystko to robiło niesamowite wrażenie. Pełgające światło latarni sprawiło, że przez chwilę zdawało mu się, że posąg drgnął. Opuścił płonąca żagiew i zlustrował podłogę. Szukał zejścia, drabiny, tajnej kłapy... Przejścia, za którym krył się legendarny skarb. Posąg musiał być centralnym punktem grobowca, więc skarb Azteków także musiał być w pobliżu. Przetarł oczy, gdy wydało mu się, że stopa monumentalnej rzeźby przesunęła się.

Cofnął się o kilka kroków i uniósł pochodnię w górę, obejmując statuę wzrokiem. Jakiś błysk w górze przykuł jego uwagę. Niczym urzeczony patrzył, jak oczy w monstrialnej twarzy otwierając się i wylewa się z nich krwawy blask. Noga posągu uniosła się i z hukiem opadła na podłogę. Siła tupnięcia była tak wielka, że Panama Joe poleciał na plecy. Pochodnia wypadła mu z ręki i potoczyła się po posadzce. On sam upadł i tyłem głowy uderzył o cegły. Świadomość awanturnika uleciała, a jej miejsce zajęła ciemność.

\*\*\*

Bar był paskudny. Gwarny, śmierdzący niemytymi ciałami i wymiocinami, pełen tytoniowego dymu. Dziewczyna rozejrzała się niechętnie. Tego wieczoru musiała przestawić kilka nosów i złamać kilka rąk, żeby móc w spokoju porozmawiać. Udało jej się jednak odnaleźć w końcu starego awanturnika, który wiele lat wcześniej zaginał w Meksyku. Zgubiło go to samo, co zabiło wielu innych – pogoń za legendarnym skarbem. O ile jednak tamtych zabrała śmierć, to Panama Joe miał mniej szczęścia. Odnaleźli go w górach nad miastem Metysi, niosący kontrabandę – jego ciało przetrwało. Lecz jego umysł nigdy nie wrócił do równowagi. Podróżnik wegetował w slumsach Meksyku, bredząc o skarbie, zemście i niebezpieczeństwach. Potwierdzenie, że żyje i odnalezienie go zajęły jej kilka tygodni. Teraz wreszcie siedziała naprzeciw legendy i musiała przyznać, że jak to z legendami bywa – wyglądało na to, że w tej zostało co najwyżej ziarno prawdy.

– Tam były czaszki, upiorne czaszki pomordowanych Azteków! – wybełkotał śmierdzący moczem i strawionym alkoholem wąsaty biały. Jego twarz ginęła w cieniu rzucanym przez rondo wielkiej panamy, która dawniej musiała mieć kolor żółty lub beżowy, lecz teraz przypominała bardziej burą szmatę.

– Węże jak twoja noga, panienko Yearling... I ogromne, włochate pająki! – uniósł do ust brudną szklanę i wysączył ostatnie krople palącej, podłej tequili. Spojrzał błagalnie na swoją rozmówczynię. Poprawiła na głowie korkowy hełm, owinięty zielonym oplotem i niechętnie dołała mu z prawie próżnej flaszki. Odgarnęła z czoła szare włosy i spojrzała na niego pytająco.

– Tak, węże, pająki i nietoperze. To nie miejsce dla dziewczyn... – usłyszawszy to, prychnęła tylko pogardliwie.

– Pełno pułapek, panienko... Płonące w jamach ognie, spadające łańcuchy, zdolne zgruchotać koński kark, znikające podłogi... Jeśli ci życie miłe, nie idź tam. W najlepszym razie czeka cię szaleństwo – gringo opadł ciężko na krzesło, głowa mu zwisała w tył, a oczy uciekły w górę.

Dzielna Doe poprawiła kapelusz i wyszła na zewnątrz. Gwizdnęła cicho. Z cienia pod budynkiem wynurzył się pies i zamerdał ochoczo ogonem. W ślad za nim wytoczyła się wielka panda i spojrzała pytająco na awanturniczkę.

– Ruszamy po przygodę – powiedziała Doe. – Koniec z puszczeniem latawców, bierzemy się za poważną robotę.

\*\*\*

*Niniejszy utwór powstał z głębokiego uwielbienia, jakie jego autor żywi dla jednej z najbardziej klasycznych gier na 8-bitowe Atari. Godziny, dni, tygodnie i lata spędzone na penetracji grobowca Montezumy (w obu wersjach) są dla wielu osób doświadczeniem pokoleniowym. Postanowiłem je uczcić w ten skromny sposób. Inne postacie i nawiązania pojawiające się w tekście są efektem istnienia delikatnej lecz rozległej siatki nawiązań i skojarzeń, przenikających współczesną pokulturę.*

**Prawa do marek i znaków towarowych wykorzystanych w tekście:**

- Zemsta Montezumy, Pedro – Robert Jaeger
- Panama Joe – Parker Brothers / Hasbro
- Indiana Jones – Lucasfilm / Disney
- Lara Croft – Eidos Interactive / Square Enix
- Dzielna Doe – Hasbro
- Piesek i panda – Zuza Biedrzycka

**Prawa do niniejszego tekstu: Bartek Biedrzycki 2016, CC-BY-ND**

Redakcja: Zygmunt Przetakiewicz, Agnieszka Jordan – Gonderek

Więcej o autorze na stronie: <http://www.gniazdoswiatow.net>

Facebook: <http://www.facebook.com/BartekBiedrzyckiOficjalna/>

Sprawdź także postapokaliptyczne powieści Bartka Biedrzyckiego:

- Kompleks 7215
- Stacja Nowy Świat
- Dworzec Śródmieście